ROZMAITOŚCI.

Dnia 24. Grudnia **N^er^ 52.** **Roku 1842.**

WIĘZIEŃ.

(Dokończenie.)

Komu się gwiazda nieszczęścia rozświeci,
Próżno za kotwę obiera nadzieję,
Choć silną ręką skały się uchwyci,
Los go potrąci w zatopu koleje!

Zwolna i bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i podsłuchiwała — starzec cicho oddychał — zasnął.

Nie robiąc najmniejszego szelestu, zbliżyła się na palcach do łóżka — wyciągnęła zwolna rękę w górę po pęk kluczy, które nad łóżkiem na ścianie wisiały, wtém ruszył się stary Fiedor i coś przemówił przez sen. Olena struchlała, przestrach zaparł jéj oddech, odjął przytomność — stanęła martwa jak posąg.

Starzec znowu się uspokoił. Olena powoli odzyskując zmysły, wyciągnęła napowrót rękę, i palcami dotknęła się kluczy.

Ostrożnie zdjęła kółko z haczka, i z bojaźni, aby spuszczając na dół pęk kluczy, nie narobiła brzęku, z wzniesioną w górę ręką niosąc klucze, oddaliła się z izby, znowu tak zwolna i po cichu, jak piérwéj była weszła; drzwi przyparła ostrożnie.

Jak anioł zbawienia szybko, choć w ciemności nocy, zbiegła po wschodach na dziedziniec.

Wkrótce znalazła małą, żelazną, tylną fórtkę, odemknęła ją z pośpiechem, i przebiegła długi dziedziniec, porośnięty trawą, otoczony wysokim murem; a tu znowu druga była fórtka!

O téj fórtce zapomniała Olena. »O Boże! jeźli się do tego zamku żaden klucz nie przyda!« pomyśliła sobie. Z bijącém sercem spróbowała kilka kluczy po kolei, w końcu jeden się przydał! Fórtka się otworzyła, a Olena z pośpiechem prawie bez duszy wbiegła na wązkie, kręcone schodki, które prowadziły do więzienia.

Po omacku, sunąc się w ciemności nocy po pod ściany, natrafiła wreszcie na znane drzwi, za któremi nieznajomy więzień oczekiwał uderzenia godziny haniebnéj śmierci! Ostrożnie klucz wetknęła w zamek, i zwolna nim obróciła. Rygiel warknął — Olena zadrzała z radości i z przestrachu. Zdało się jéj, że cały świat usłyszał!

Drzwi się ciężko uchyliły — zbliżyła się do więźnia, który wyciągnięty na twardym tapczanie w bezsenności okropnym oddawał się myślom. — Teraz gdy szelest posłyszał, podniósł się i wpatrzył się ku drzwiom.

»Co to... ktoś ty!...« chciał zapytać.

»Cicho!« szepnęła drząca Olena. »Ani się odzywaj! Idź za mną, ja cię wybawię.«

»Wybawisz?!« zapytał nieznajomy przytłumionym głosem.

»Nie trać czasu — prędko, prędko — idźmy, aby się nie spóźnić!«

To rzekłszy, ujęła drzącą ręką więźnia za ramię i pociągnęła go za sobą.

»Ależ — przez Boga — powiedz —«

»Milcz!« szepnęła Olena idąc przodem, i ciągnąc nieznajomego za sobą — oddalili się ciemnym kurytarzem, macając ostrożnie po ścianach i kręconych wschodach.

I weszli przez fórtkę w dziedziniec.

»Idźmy po prawéj stronie«, rzekła z-cicha Olena — »bo tam daléj na lewo, straż chodzi.«

I zwolna sunęli się śród ciemnéj nocy po pod mur, i minąwszy więzienia, przybyli do kazamatów.

Olena otworzyła wielką dębową, żelazem okutą bramę, i wpuściła wybawionego młodzieńca do ciemnego, ogromnego sklepu, w którym chowano z-użyte działa.

»Tu pozostaniesz do jutra. — Skoro świt, zaopatrzę cię w żywność. W piérwszą noc ciemną, możesz z tąd łatwo przez wał, który tu w kilku miejscach jest uszkodzony, dostać się do fosy, a z tamtąd jeszcze łatwiéj manowcami i nocą za pomocą bożą do ojczyzny twojéj. Moje gorące życzenia i Bóg, będą ci przewodniczyć!«

Więzień zdziwiony, słuchał słów dziewczyny.

»Jakichże użyję wyrazów, abym ci zdołał podziękować nadludzka istoto?« zawołał więzień, »powiédz mi, co ciebie ośmieliło na takie poświęcenie?«

»Nié ma tu czasu potemu«, odpowiedziała Olena — »każda chwila zgubę niesie! Ja odéjść muszę.»

»Zaklinam cię, powiédz, co ciebie skłoniło do tak śmiałego czynu?« powtórzył więzień, »wszak wybawiając mnie, narażasz na niebezpieczeństwo życie swoje!«

»Co mnie skłoniło, to Bogu tylko i mnie wiadomo, a więcéj nikt o tém wiedzieć nie będzie!«

To rzekłszy, zawarła spieszno bramę, kluczem spuściła zamek, i jak cień przemknęła koło muru.

Przybyła do mieszkania. Stłumiając przemocą oddech gwałtowny, ostrożnie weszła do izby ojca, zawiesiła pęk kluczy na ścianie tak, iż ojciec nie zasłyszał, i śpiesznie wróciła do swojéj sypialnéj izdebki.

Dopiéro tu przybywszy, pojęła dokładnie całą wielkość i okropność przedsięwzięcia, które wykonała! Stało się jéj podobnie jak owemu chłopkowi, który błądząc po nocy, przebiegł po słabo-przymarzniętéj i śniegiem zlekka przyprószonéj rzéce, nie wiedząc nawet o tém; lecz gdy stanął na lądzie i ujrzał, iż to jest brzég głębokiéj rzéki, która w téj chwili krę łamać poczęła, dopiéro pojął niebezpieczeństwo, w jakiém się znajdował, dopiéro teraz ogarnął go tak przestrach wielki, iż mu odjęło mowę.

Oleny słaba budowa ciała nie podołała nadzwyczajnemu natężeniu i gwałtownym wzruszeniom duszy. Wysilona padła na łoże, straciła zmysły.

Nazajutrz stary zégar ścienny w izbie Fiedora wskazywał już na szóstą, a Oleny jeszcze nie było z śniadaniem, które bywało codzień o tym czasie ojcu zastawia. Troskliwy o córkę Fiedor, udał się do jéj izdebki.

Jakże się nie przeląkł, gdy ujrzał Olenę bladą, w gwałtownéj gorączce, z obliczem zmienionéın, z rozpuszczonym włosem.

»Cóż ci się stało Olenko, przez Boga, powiédz.«

»Jam zdrowa«, odpowiedziała choć przytłumionym lecz gwałtownym głosem, »miéj tylko chwilkę cierpliwości, a obaczysz, iż mi lepiéj będzie.«

»Ty jesteś chorą, bardzo chorą«, zawołał przelękniony ojciec, »ja biegnę natychmiast po doktora.«

»Nie chodź ojcze, nie« — z natężeniem prosiła.

W téj chwili wszedł Ilijo; jego troskliwość o Olenę wygnała go z domu, chciał, nim pójdzie do warsztatu, widzieć dziewczynę.

»O Boże mój!« — zawołał smutno — »czyż nie przeczuwałem, iż ją chorą zastanę!

»Co prędzéj Ilijo«, rzekł ojciec — »skocz po doktora, mieszka niedaleko głównéj bramy, stara Fewronia ci pokaże.«

»Nie chcę doktora«, jęknęła Olena, usiłując powstać z łóżka, lecz nadaremnie.

Ilijo szybko jak strzała wybiegł z izby.

Dręczący niepokój miotał Oleną. Z boleści i smutku wiła się po pościeli. Nadaremnie stary ojciec błagał ją, aby się uspokoiła, gdyż gwałtownéın rzucaniem się tylko chorobę powiększa. Olena myśliła tylko o więźniu w kazamatach! Tą myślą trapiącą była ciągle zajęta.

Wyobrażała sobie nieustannie jego rozpacz, jego stan okropny, w jaki popadnie, gdy nie będzie mogła wstać z łóżka i zanieść mu żywność. Okropna trwoga powstawała w jéj duszy, gęste krople potu oblały jéj czoło.

Do izby wraz z Ilijem wszedł lékarz. Przypatrzył się choréj, badał bicie tętna, i rzekł do ojca biorąc go na stronę: »W prawdzie nerwy mocno są podrażnione, jednakowo myślę, iż po zażyciu lékarstwa, które zapiszę, choroba nie potrwa dłużéj, jak dni kilka.«

»Dni kilka!« zawołała w rozpaczy Olena, słysząc ostatnie słowa lékarza. W téj chwili jeszcze okropniéj zmieniło się jéj oblicze.

»Za kilka dni wstać będziesz mogła, moje dziécię«, odpowiedział lékarz, »tylko spokojnie leż w łóżku a wnet zdrowszą będziesz.«

»Spokojnie leżeć w łóżku!« z boleścią pomyślała sobie Olena i już w duszy widziała więźnia, jak głodem trawiony kołace w śmiertelnéj rozpaczy w drzwi żelazne a potém konający w okropnych mękach wije się po ziemi!«

»Uspokój się Oleno«, napominał ją Ilijo, »w tak nadzwyczajném jesteś wzruszeniu, w jakiém cię jeszcze nigdym nie widział. Cokolwiek ci cięży na sercu, miéj nadzieję w Bogu, a wszystko dobrze zakończyć się może.«

»Choroba jest niebezpieczna«, mówił lékarz, który zapisawszy receptę, zbliżył się znowu do słabéj: »Proszę dobrze pilnować, aby nie wstawała z łóżka.«

»O Boże, na moję starą głowę takie nieszczęście!« począł narzékać Fiedor; potém przywoławszy starą Fewronię zlecił jéj, aby pilnowała choréj.

Ilijo daremnie używał całéj wymowy dla uspokojenia Oleny, która z trwogi o więźnia prawie zmysłów pozbawiona była.

Łkała, załamywała ręce, zaklinała na wszystko, aby jéj pozwolić wstać z łóżka, mówiąc, iż jest zdrową, a gdy jéj próśb nie słuchano, rzucała się i wiła jak obłąkana!

Wyobrażenia jéj gmatwały się coraz więcéj, aż nareszcie słowa jéj straciły wszelki związek. Gorączka wzmagała się coraz bardziéj, nareszcie nadszedł stan zupełnéj niemocy; leżała bez zmysłów!

Do izby wszedł strażnik, i doniósł z przestrachem Fiedorowi, iż ów złoczyńca skazany na śmierć, znikł z zamkniętego więzienia, nie wiedzieć jakim sposobem. »Może przez okno«, dodał, »z ogromnéj wysokości rzucił się w fossę, lecz natenczas—zginął, zanim doleciał do ziemi.«

Stary Fiedor tém doniesieniem przerażony, opuścił wraz z strażnikiem śpiesznie izbę.

* * *

Ojciec, Ilijo i lékarz stali znowu przy łóżku choréj, gdy ta przychodząc do zmysłów, jak trup blada, potoczyła słabém okiem po obecnych.

»Olenko« — przemówił stroskany ojciec, »jak ci jest?«

»Osłabionam«, poszepnęła dziéwczyna— »zdaje mi się, jak gdybym długi czas nieprzytomna była — powiédzcie mi, czy to prawda?«

»Cóż ci z tego przyjdzie«, odpowiedział ojciec, »myśl lepiéj o twém wyzdrowieniu.«

»Oh, powiédzcie mi«, zawołała Olena, któréj na raz stanął na myśli więzień w kazamatach, a dawniejsza obawa na nowo w całéj sile ożyła w jéj piersi—»jak długom leżała bez przytomności?«

»Niedługo moje dziécię« — rzekł ojciec, chcąc ją uspokoić.

»Na Boga! powiédzcie mi jak długo?« zapytała Olena drząc na całém ciele.

»Dziś właśnie dni cztérnaście« — odpowiedziała stara Fewronija, stojąca w nogach łóżka; myślała, iż Olenę tém uspokoi.

»Cztérnaście dni!« jęknęła Olena bezprzytomnie, szarpiąc się obydwoma rękami za włosy, »a więc ja jestem jego zabójczynią, ja, która go wybawić chciałam!« zawodziła, w konwulsyjnych zachodząc się łkaniach.

»Kogo?« zapytał zdziwiony Fiedor.

»Owego więźnia, skazanego na śmierć, który uciekł.—Biegnijcie co prędzéj do kazamatów, tam w drugim sklepie, może jeszcze żyje—lecz nie, to być nie może—« dodała okropnym głosem, a potok łez zalał jéj blade lica—»on już umarł!«

Zdziwieni i przelęknieni stali obok Fiedor i Ilijo, i już chcieli uwierzyć, iż Olena wszystko mówi w napadzie gorączki, ale jéj gesta za nadto jasno ich przekonywały, iż szczérą mówiła prawdę.

Z oczu Ilija spadła tajemnicza zasłona, która postępowanie Oleny zakrywała; brakło mu słów, aby ją pocieszać, ach! wszak i dla niego nie było pociechy!

Jednakowo po chwili przezwyciężył siebie, i począł rozpaczającą uspokajać, podczas gdy stary ojciec pospieszył do kazamaty.

Lecz nadaremne były usiłowania biédnego Ilija. Rozpacz Oleny nie miała granic—i wnet straszliwa gorączka odebrała jéj przytomność.

*

Fiedor w kazamacie znalazł więźnia, przy wchodzie obok lawety leżał na ziemi rozciągniony — głód go zabił!

Nikt w całéj fortecy nie słyszał kołatania we drzwi — nawet straż nie daleko stojąca; biédny, szlachetny więzień, nie chciał zdradzić dziéwczyny! Śmierć najokropniejszą poniósł zwycięzko.

W kilka dni potém, gdy ciało więźnia zakopano w ziemi, wyniesiono i Olenę — która już więcéj nie odzyskała przytomności — na cmętarz i spuszczono do grobu.

A biédny Ilijo jeszcze tego wieczora zarzucił tłómoczek na plecy, i puścił się w świat za oczy! W którym kącie świata się oprze, tego nie wiedział, to mu tylko było jasno wiadomo, że szczęśliwéj gwiazdy życia — już nigdy nie ujrzy! **

POJEDYNEK.

Wyjątek z »Obrazów ostatniéj hiszpańskiéj wojny domowéj.«

Chociaż Hiszpanie niechętnie patrzą na to, gdy cudzoziemcy w ich kraju piastują urzędy cywilne lub wojskowe, jednakowo można zawsze znaleźć w każdym pułku kilku oficerów cudzoziemców. I tak w Asturyi napotkałem batalijon wojska krystynowskiego, w którym było dwóch kapitanów cudzoziemców, Francuz i Polak. Piérwszy zwał się Wiktor, młody mężczyzna; pochodził z domu znakomitego i tylko goniąc za przygodami, wstąpił był do wojska hiszpańskiego. Waleczny, dobrze wychowany, a nawet światły — wybornym byłby do towarzystwa, gdyby nie jedna wada, która go nawet zgubiła. Jak tylko przy winie trochę sobie podochocił, natychmiast nierozważne rzucał słowa i obrażał, może nawet bez zamiaru, swych kolegów. Odzyskawszy krew zimną, przyznawał się w prawdzie chętnie do winy, lecz to go na późniéj nie oduczyło od nałogu, i gdy tylko wydarzyła się nowa sposobność podchmielenia sobie, wnet plótł i broił po dawnemu.

Polak **Cyrzyński**, zupełnie innego był charakteru. Mężczyzna olbrzymiego wzrostu, okryty bliznami, posiwiał w bojach, a jak na polu bitwy, jakby lew walczył, był gwałtowny i natarczywy, tak w obozie był cichym i łagodnym ni najlepsze dziécię. Oparłszy głowę na ręku, w milczeniu przesiedział nieraz kilka godzin, czasem tylko ruszył ustami, gdy z lulki dym przeciągał. Bardzo rzadko kiedy można było słyszéć głos jego; jakiś tajemny smutek, tęsknota go trawiła. W ojczyźnie nie uczył się obcych języków, los kazał mu potém służyć w wojsku pięciu czy sześciu narodów, z których języka, nauczył się był słów wiela. A tak i rozmowa z nim była dziwna, przeplatał bowiem słowami rozmaitych języków.

Mając dawną, zażyłą znajomość z dwoma oficerami tego batalijonu, postanowiłem dni kilka u nich w téj wsi zabawić, abym wypoczął po trudach podróży, którą przez cały tydzień na siodle, na złym koniu odbywałem. Zaznajomiłem się wnet i z Cyrzyńskim, a chociaż mała wioska cudzoziemca bynajmniéj zająć nie mogła, jednakowo czas mijał mi tak szybko, iż o dalszéj podróży nawet zapomniałem. Co wieczór schodziliśmy się razem, ja, ów Polak, Wiktor i dwóch lub trzech hiszpańskich oficerów, i przy wazie grzanego wina, żwawą toczyliśmy rozmowę.

Od trzech lub cztérech dni ściągały się wojska z kilku stanowisk, i roztasowywały się w okolicy wioski naszéj. Kilka tysięcy żołniérza rozłożyło się obozem po sąsiednich wioskach, i pod gołém niebem. O wystrzał karabinowy od naszych placówek, podsunęły się przednie straże oddziału karlistowskiego. Obadwa wojska oczekiwały wzmocnienia, a za dni kilka miano stoczyć walną bitwę.

Raz w wieczór siedzimy u Don Julijana przy ogromnym dębowym stole, przed nami stało sześć szklanic, każda innego kształtu, a pośrodku wielka gliniana waza, z któréj się dymiło gorące, korzeniem zaprawne wino. Spora paczka cygarów uzupełniała to wojskowe *soirée*. — Rozmawiano najwięcéj o poruszeniach wojska, czyniono domniemywania o wypadku blizkiéj bitwy. Piérwszą wazę już wypróżniono, i właśnie co wniesiono drugą, gdy jeden z obecnych, rozmowie inny nadał kierunek, zacząwszy opowiadać przypadek, który się przed południem był wydarzył.

Jakiś oficer, na pięknym, andaluzyjskim koniu, wysunął się aż po za liniję karlistowską, nie oddalając się bynajmniéj od przednich placówek swoich. Naraz koń czegoś spłoszony skacze w bok — wznosi łeb w górę, i lotem strzały pędzi w nieprzyjacielski obóz. — Nadaremnie usiłuje oficer zwrócić konia. Gdy już na jakich sto kroków zbliżył się do placówek krystynistowskich, pada strzał, a nieszczęśliwy jeździec ugodzony kulą, leci na ziemię. W téj chwili koń stanął jak wryty, powąchał pana, i zwolna podnosił łeb w górę; zdawało się jak gdyby żałował swéj płochości.

Kilka żołniérzy zbliżyło się do zabitego oficera, i w tém miejscu, gdzie padł, grób mu wykopali.

»Ceremonija ta«, mówił młody hiszpański oficer, przyjaciel Wiktora — »odbyła się prędko, kopali bowiem tylko na dwie stopy w głąb, i w ten dołek położono zabitego, w koszuli, jak gdyby w łóżko.«

»Za nadto grzecznie z nim się obeszli« — powiedział Wiktor — »zwłaszcza gdy u nas o bieliznę tak trudno. Byłoby chwalebną zasługą, gdyby kto odkopał trupa, i zdjął z niego koszulę.«

»Boże uchowaj!« — odezwał się Polak — »pokój umarłym! Taki czyn, na złe wychodzi.«

»Czy doprawdy?« odpowiedział Francuz; w którym duch sprzeczki i junakieryi się obudził — »otóż ja przyobiecuję wydobyć ową koszulę, a co większa, ubrać się w nią — skoro tylko wyruszymy przeciw Karlistom.« — Cyrzyński potrząsł głową, nie rzekłszy ani słowa, Francuz napełnił śklenicę i wypił duszkiem.

»Pójdź ze mną!« zawołał na przyjaciela Don Luis — »pomożesz mi, gdyż sam musiałbym całą noc pracować.«

Młody Hiszpan wahał się przez chwilę; propozycyja ta nie ze wszystkiém się podobała, lecz przyzwyczajony słuchać zawsze odważnego kolegi, i teraz zabiérał się towarzyszyć mu w téj wyprawie. Chociaż my wstrzymywali ich usilnie od tego przedsięwzięcia, nie chcąc na czas niejaki postradać wesołych towarzyszy wieczornych, jednakowo od raz powziętego zamysłu, w żaden sposób odwieść się nie dali. W końcu myśleliśmy, iż to tylko żart Wiktora, że obadwa u którego z przyjaciół noc przepędzą, i przestaliśmy mówić o nim. Tylko zdawało się, iż jeden Cyrzyński nie mógł zapomnieć tego, co się wydarzyło. Przeciw swemu zwyczajowi położył lulkę na stole, i mówił więcéj daleko, jak to zwykł był czynić — rozgadał się na piękne. Opowiedziawszy nam kilka zdarzeń tak okropnych, że aż włosy stawały na głowie, dodał, iż w ojczyźnie jego, lud przekonany jest, iż kto tylko grób naruszy, zawczesną śmiercią ukarany bywa. Jeżli winowajca mszami i t. p. nie odpokutuje czynu — nie ujrzy słońca w dniu piérwszéj rocznicy spełnionéj zbrodni, jak to lud wierzy. — Chociaż Cyrzyński sam tego nie utrzymywał, jednakowo widać było, iż przejął się mocno wiarą ludu.

Nie upłynęło więcéj jak godzina, gdy zakołatano do drzwi — i wbiegł Wiktor w towarzystwie przyjaciela, śmiał się tak w głos, iż zdawało się, jak gdyby się przymuszał do téj niezwykłéj wesołości.

»Szczęśliwie nam się powiodło« — mówił — »jednakowo życie stawiliśmy na kartę. Nasze czaty wzięły nas za karlistowskich rabusiów. Cóż ty powiész na to?« — a kładąc małą paczkę na stół przed Polaka — dodał: »Przyjm ten prezent!«

Cyrzyński rozwinął paczkę, i wyjął bardzo cienką, lecz krwią zbroczoną koszulę — natychmiast upuścił ją z rąk.

»A to żart czartowski«, ozwał się po chwili do Wiktora, którego na świéżem powietrzu wino jeszcze więcéj zamroczyło. Wiktor wypił znowu śklenicę gorącego wina, aby, jak mówił, odpędzić od siebie nocną mrakę — poczém odpowiedział Polakowi w sposób nie bardzo grzeczny:

»Ty wszystko potępiasz, co ja tylko tego wieczora mówię lub czynię — czy ty przedsięwziąłeś sobie, mnie jak dziecku moralizować?«

»Miałbym prawo, żalić się na ciebie« — odpowiedział Polak obojętnym, spokojnym głosem, »lecz wolę milczéć.«

»Doprawdy?....«

»Mówmy o czém inném« — przerwał mu Cyrzyński. »Więc ty nie sądzisz mnie być godnym odpowiedzi? Nie prawdaż? To chciałeś mówić?«

Zamiast odpowiedzi Polak wziął lulkę ze stołu i przyłożył ją do ust. Rysy twarzy jego bynajmniéj się nie zmieniły, tylko po gęstych kłębach dymu, którym się otoczył, domyśléć się było można, iż tylko na pozór był spokojnym.

»Odpowiédzże mi raz przecie!« krzyknął Wiktor, którego milczenie Polaka rozzłościło — »odpowiédz mi, inaczéj będę myślał, iż mnie umyślnie obrażasz, a wtenczas....«

Francuz w téj chwili podniósł śklankę z winem w górę, i chcąc żywo rękami gestykulować, chlustnął, jak ja mniemam, nieumyślnie Polakowi w oczy.

Cyrzyński powstał z miejsca, i spokojnie twarz otarł z wina, które po opalonéj twarzy i po długich spływało wąsach. Nie widziałem jeszcze nigdy, aby kiedy rysy twarzy człowieka szlachetniejszy przybiérały wyraz.

»Kochany przyjacielu!« odezwał się do Wiktora po francuzku, siląc się na jak najlepszą wymowę. »Nierozsądnie sobie postąpiłeś, bez powodu obraziwszy człowieka, który już wtedy był żołniérzem, gdy ty w pieluchach leżałeś. Patrzaj, ilu bliznami ja okryty jestem, nikt mnie o tchórzostwo nie obwini; — powiédz więc tylko, iż żałujesz tego, coś uczynił, a nikt ani wspomni o téj sprawie. Nie jestto hańbą przyznawać się do niesłuszności, zresztą jesteśmy między dobrymi przyjaciołmi, ci o wszystkiém zamilczą.«

Przez chwilę wahał się Francuz, zdawał się namyślać. Lecz upor pijanego i junakieryja przemogły.

»Nie wątpię«, odezwał się—»iż uniewinnienia moje chętnie byś przyjął, lecz ja nie myślę uniewinniać się przed tobą.«

To rzekłszy obrócił się na miejscu, i wyszedł z izby.—Ten wypadek był dla nas wszystkich hasłem do rozejścia się. Wszyscy powrócili do swych pomieszkań, tylko Cyrzyński, spokojny jak pierwéj, pozostał u Don Julijana.

Na drugi dzień, skoro świt, stanęły wojska nasze w linii bojowéj, aby powitać Karlistów, jeźliby nas zaczépili; lecz gdy nieprzyjaciel zdawał się nie mieć ochoty do boju—po kilku godzinach rozpuszczono nas na kwatéry. Stałem w austeryi przy oknie, gdym spostrzegł przechodzących tamtędy Cyrzyńskiego i Don Julijana. Ponury Polak owinął się płaszczem i ujrzawszy mię w oknie, kiwnął na mnie.

»Mocno mnie to martwi«—rzekł do mnie, odwinąwszy płaszcz, pod którym niósł szkatułkę z pistoletami. »Wiktor nie chciał się pogodzić, a ja nie widzę sposobu, aby uniknąć pojedynku—wiesz zapewne, jak surowe są nasze wojenne prawa co do pojedynków. Sprawa ta może nas pozbawić epoletów, zwłaszcza, gdy pojedynek odbędzie się w polu w obliczu nieprzyjaciela—proszę cię, bądź moim towarzyszem. Jesteś cudzoziemcem, na ciebie taka grzeczność nie ściągnie żadnych złych skutków—a świadectwo twoje może nam być przydatne, gdy sprawa wytoczy się przed sąd wojenny.«

Stanęliśmy na wyznaczoném miejscu.—Było to pole między pagórkami, okrytémi lasem; po obu stronach, w jednakowéj odległości stały dwie krystynistowskie placówki. Chociaż niedaleko od czat, jednakowo dla wielkiéj liczby wojska, w całéj okolicy nie można było więcéj odosobnionego, przydatnego znaleźć miejsca, chyba potrzeba było oddalić się o kilka mil ode wsi. Pole to ku karlistowskim obozom spadało coraz niżéj—a potém w dali wznosiło się i tworzyło wysoką płaszczyznę, na któréj rozłożył się nieprzyjaciel.

Wiktor i sekundant jego, ten sam Don Luis, który mu w owéj nocnéj wyprawie towarzyszył, przybyli w tym samym, co i my czasie. Don Julijan usiłował raz jeszcze pogodzić przeciwników, lecz nadaremnie. Wymierzono odstęp—a obadwaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. W chwili, gdy sekundanci podawali im pistolety, dał się słyszeć z niedaleka żywy ogień karabinowy. Wbiegłem na pagórek, który nas od krystynowskich placówek przedzielał, i dostrzegłem szare mundury i niebieskie czapki karlistowskich tyralijerów, którzy z naszymi małę ogniową utarczkę staczali. Julijan, który przeciwnikom miał dać hasło do wystrzału, wahał się przez chwilę.—Dziwną to bowiem było rzeczą, pojedynkować się śród kul nieprzyjacielskich.—

»Daj hasło!« krzyknął zniecierpliwony Wiktor. »Jedna chwila, a wszystko się skończy.«

»Raz... dwa....«

Kula Francuza przeszyła czapkę Cyrzyńskiego, Polakowi pistolet nie spalił.

W téj chwili zachwiał się Wiktor, i śród zdziwienia obecnych, padł na ziemię. Sekundanci i Polak przyskoczyli do niego—ujrzeliśmy Wiktora we krwi.—Kula karlistowskiego tyralijera obiwszy się o mur poblizki, ugodziła go w głowę.—Ostatnie słowa Francuza były: »Jedna chwila—a wszystko się skończy!«—Ledwie to wyrzekł, już leżał trup rozciągnięty. **.

ZE LWOWA.

LIST DO REDAKCYI G. L. ANDRZEJA EDWARDA KOŹMIANA.

Szanowny Redaktorze!

I my mamy naszego Jana Reboula, i u nas znalazł się obdarzony wyższémi zdolnościami, ubogi, lecz uczciwy rzemieślnik, przymuszony w ręcznéj pracy szukać dziennego zarobku, lecz mimo to, zdolny piórem władać, składać rymy, i ku swojemu opowiadaniu przyjemnemu i gładkiemu, skłaniać słuchającego ucho.

Pozwól szanowny Redaktorze! ażebym Ci opowiedział, gdzie i jak, pod niską strzechą, w ciasnych ścianach, śród cnotliwego ubóstwa, wynalazłem szczęśliwym trafem, ten ukryty talent, zdolny jeszcze większego wykształcenia, lecz którego i dzisiejszą pracę, publiczność z przyjemnością przyjąwszy, powtórzy z przychylném i pochwalnem uczuciem, imię Franciszka Wiktora Dmóchowskiego, majstra krawieckiego w Przemyślu.

Na początku października r. b., przejeżdżając przez Przemyśl, zwyczajem miłośników i zbieraczów »Pamiątek historycznych, i dawnych pomników polskiéj literatury«, pytałem się na prawo i na lewo, czyby gdzie nie można w Starym Przemyślu, dawnych dzieł polskich wyszukać i nabyć. Ale wkrótce przekonałem się, żem się znajdował na niwie starannie sprzątnionéj, na któréj i kłósek jeden do zebrania nie pozostał. Poszukiwania więc moje były nadaremne, lecz wskazano mi na drugiéj stronie mostu, tuż obok klasztoru panien Benedyktynek, domek mały, grożący blizkim upadkiem, w którym pod strychem, mieszkał krawiec Dmóchowski—a ten krawiec miał mieć u siebie kilka dawnych książek.—Idę do niego.—Wchodzę do szczupłéj izdebki—pytam o stare dzieła—a znajduję nowego i nieznajomego pisarza.—Dmóchowski miał dawniéj poezyje Jana Kochanowskiego, i kronikę Bielskiego, które zawsze z upodobaniem czytywał, lecz które pewnemu duchownemu odstąpił na silne jego naleganie.—Ale ma on swój własny rękopism—złożony z prozy i z wierszy, który z nieśmiałością mi okazał. Przeglądam go, czytam, i znajduję pamiętniki jego, którym nadał tytuł: *Syn i Ojciec*, a które mieszczą niezmiernie zajmujące i przyjemne opowiadanie, przygód jego żołnierskiego życia, (bo Dmóchowski służył przez lat szesnaście w wojsku). W pierwszéj części opowiada pisarz dawniejsze czasy, to, co od starego ojca zasłyszał, maluje więc żywemi i prawdzi-

wémi farbami, dawniejsze obyczaje—przenosi nas w dawną Polskę, na trybunał lubelski, na dwór nieświezki księcia Karola Radziwiłła. — W drugiéj części opisuje zdarzenia własnego życia. Wojnę pruską — bitwę pod Pułtuskiem. Niewolę we Francyi. Wojnę hiszpańską—rossyjską — odwrót roku 1812 i następne wypadki, a to wszystko opowiada mową gładką, a sobie właściwą, zapatrując się na wypadki ze stanowiska własnego, ze stanowiska prostego żołniérza. — Całe to pismo powierzone mi z ufnością przez Dmóchowskiego, z wielkiem zajęciem przeczytałem — jest ono tego rodzaju, że przywiązuje do jego autora, że wzbudza dla niego przychylne i pełne szacunku uczucie. — Dzierzę więc, że wydane na widok publiczny, wdzięcznie przyjęte by zostało. — Mam przeto zamiar podać je pod Cenzurę Rządową, i do druku je przesłać — nadto ogłosić na nię prenumeratę, na korzyść autora. — Prenumeratę chcę ogłosić, bo tuszę sobie, że publiczność krajowa z miłą chęcią wyciągnie dłoń pomocną ku rodakowi, którego ukryte i nieśmiałe zdolności i usposobienie do umysłowego przeznaczały zajęcia—a który nie ufając własnym siłom, niedostatkiem zgnębiony, w uczciwéj, lecz mało korzystnej pracy, tą ręką szuka zarobku, którą władał szablą — i którą zdolny władać piórem.

Gdybyś tego zażądał szanowny Redaktorze! przesłałbym Ci do »Rozmaitości« z mojego »Dziennika« wyjątki niektóre prozą i wiérszem, z pism naszego Jana Reboula, ażeby z nim obeznać zawczasu publiczność i wzbudzić w niéj chętne i przychylne uczucie dla dzieła, i dla jego autora Frańciszka Wiktora Dmóchowskiego, majstra krawieckiego w Przemyślu.

Z Snwałek w wrześniu 1842. Prócz wielu autorów sławnych i sławionych, jak n. p, Teodora Narbuta, zasłużonego dziejopisa—Floryjana Bochwica, filozofa, (którego rubaszna dobroduszność nie jednego w zabawne powątpiéwanie wprowadza, ażali obrazy i zasady myśli — wyszły z pod jego pióra). — St. Rosołowskiego, wiecznego improwizatora ulotnych płodów Apolina — bawi tu także i Tomasz Zan, *który otoczony petrofaktami orenburskich i nadniemenskich krain, dzieje ziemskie opowiada.*

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 51. i obejmuje: 1) O potrzebie głębszej orki. (Dokończenie). 2) Praktyczny rzut oka na niektóre gospodarstwa w obwodach zachodnich i południowych Galicyi (Dokończenie). 3) O głównych zasadach chodowli owiec. (Ciąg dalszy). 4) O hołowicach. (Ciąg dalszy). 5) Wiadomości czasowe: Jeszcze wzmianka o gipsowaniu.

Frańciszek Chopin. Przytaczamy tu ustęp o ziomku naszym, jenijalnym Chopinie z pisma niemieckiego: *Neue musikal Zeitschrift:* »Chopin jest najpoetyczniejszém zjawiskiem nowszéj epoki muzycznéj. Prawda, że powiérzchownie się zmienił, wiekiem spoważniał, fizycznie na siłach opadł, ale święty ogień poezyi w nadwątlonem ciele dojrzałego męża z takaż samą siłą i jasnością płonie, z jaką pałał w dwudziesto-letnim młodzieńcu. Chopin z-iścił obecnie to, co jako myśl tlało i żarzyło się w młodocianém jego sercu, co go od samego początku jego artystowstwa ożywiało. I jakże rozwiązał swe zadanie? Bez wrzawy i ostentacyi, cicho i samotnie, jak kwiatek rosnący obok drogi, krzepi znużone oko wędrownika, skromną swych barw pięknością. I Chopina burze ostatnich czasów dotknęły, lecz świętego płomienia w piersi jego nie zagasiły. I on wejrzał w życie i jego zmienne koleje; lecz dość wcześnie zdążył w sobie samym się zamknąć, sobie samemu wystarczyć. W zaciszu serca swego znalazł harmoniją, któréj na zewnątrz darmo szukał. Znalazł, mówię, i znajduje w dobranem gronie pokrewnych, przyjaciół, w towarzystwie i zażyłem pożyciu z najjenijalniejszą kobiétą*), spokojność i nagrodę za to, co świat zowie jego zasługami.«

Katedra w Sewili. Znany literat i wędrowiec Teofil Gautier, zamieścił w *Revue des Deux-Mondes* następujące opisanie olbrzymiej katedry w Sewili: »Imponujący ten gmach możnaby właściwie nazwać ogromną wydrążoną górą. W środkowéj nawie tego kolosalnego gmachu mógłby wygodnie zmieścić się francuzki kościół *Nôtre Dame* ze swémi wieżami. Słupy, które tak grube są jak wieże, a pomimo to tak cienkie się wydają, iż na widok ich trwoga zbiéra, wznoszą się z ziemi ku sklepieniom, jak stalaktyty w jakiéj olbrzymiéj jaskini. W czterech nawach bocznych, chociaż mniej wysokich niż poprzednicza, mogłyby się jednak kościoły z dzwonnicami pomieścić. Główny ołtarz *(Retablo)* mający wschody, architektoniczne ozdoby i nakształt piąter poustawiane szeregi Świętych, stanowi sam przez się ogromny gmach, który prawie aż do sklepienia sięga. Gromnica wielkanocna (*Cereus pascalis*) grubości wielkiego masztu, waży 2050 funtów, Bronzowy kandelabr, na którym takowa spoczywa, wygląda jak kolumna Vendôme! Jest on ulany na wzór kandelabru świątyni jerozolimskiéj, jak się takowy na płaskorzeźbie łuku Tytusa pojawia. Wszystko inne jest tam również wykonane na wielką stopę. W katedrze téj wypala się corocznie 20,000 funtów wosku i tyleż czystéj oliwy. Wina przy mszy świętéj, wychodzi rocznie 18,750 litrów, gdyż przed ośmdziesięciu ołtarzami téj katedry, odprawiają księża codziennie około 500 mszy. Boży grób, który tam w wielki tydzień ustawiają, zwany powszechnie monumentem, ma sto stóp wysokości. Organy mające gigantyczne proporcyje, wyglądają jak olbrzymie słupy w jaskini Fingala, a przecież tony, podobne do huku grzmotu i szumu nawałnicy, które wychodzą z ich grubych jakby z dział oblężniczych; piszczałów, wydają się pod témi kolosalnémi sklepieniami, jak słaby świergot ptaków lub pienie Serafinów. Kościół ten ma 83 okien z malowanemi taflami podług kartonów Michała Angelo i innych najzdatniejszych malarzy; najpiękniejsze utwory są pęzla Arnolda de Flandres; ostatnie z roku 1819, okazują, jak od tego czasu sztuka malowania na śkle podupadło. Opis wszystkich szczegółów téj spaniałéj budowy wymagałby osobnego dzieła. Zresztą są tam połączone wszystkie gatunki budownictwa. I tak ujrzysz architekturę ścisło gotycką, styl *de Renaissance,* tak zwany przez Hiszpanów styl złotniczy, który się zbytkiem ozdób i arabesków odznacza; styl Rokoko, styl grecki, rzymski, zgoła wszystko, gdyż każdy wiek wystawił tam ołtarz lub kaplicę, podług swego właściwego stylu. A przecież cały ten gmach nie jest skończony. Posągi zapełniające framugi, i przedstawiające Patryjarchów, Apostołów, Aniołów i Świętych są tylko z buksztynu i tymczasowie tam poustawiane. Na boku dziedzińca tak zwanego: *Moranjos,* stoi na szczycie nieskończonéj jeszcze fasady duży żuraw' żelazny, jako znak, że gmach ten nie ukończony, dopiéro póżniéj uzupełnionym będzie.«

Londyński dziennik *Sun,* umieści w następnych numerach swoich mapę państwa chińskiego, ta-

---

*) Z panią Dudevant (George Sand.)

dzież historyczny opis wszystkich ostatnich wypadków i pięciu portów, które dla Anglików na przyszłość otwarte będą, jako to: Kanton, Amoy, Tut-szo-fu, Ning-po i Szang-hai.

Artyści dramatyczni w Londynie uczą się teraz wielkiéj pantomimy, mającéj być przedstawioną podczas świąt Bożego Narodzenia, pod nazwą: *Państwo duchów*. Do téj przedstawy zrobiono 50 nowych dekoracyj i 100 nowych maszyn. Angielskie pisma nadmieniają, że same te maszyny i dekoracyje kosztują 10,000 funt. szterlingów (100,000 złr. m. k.!) W pantomimie téj będzie przedstawiony statek parowy i rzeczywiste morze, przytém z dziesięciu dział dadzą ognia. Tego tylko jeszcze nie stawało!

Jenerał Bertrand przysłał w podarunku miastu Boulogne-sur-Mer pozłacany śrébrny puhar z herbem cesarskim, który otrzymał od Napoleona tudzież kamień z grobu jego na wyspie Świętéj Heleny.

W dzienniku *Revue de Havre* czytamy następujący szczególniejszy wypadek: »Pewien włościanin z okolicy Neuschatel, wylazł po drabinie na strych, który sianem był napełniony. Żona jego postrzegłszy, że mąż zą długo bawi, zaczęła nań wołać, a nareszcie sama na strych wylazła i zastała go — nie żywym. Nie mogąc znieść na dół ciała, pozostawiła je aż do drugiego dnia, i wezwała tymczasem jednego z tych ludzi, którzy pogrzebem umarłych się zajmują. Ten wylazłszy na strych, wziął umarłego na ramiona, lecz gdy z nim stanął na spruchniałym szczeblu drabiny, złamał się szczebel, i obadwaj spadli na ziemię. A że strych nie bardzo był wysoki, więc przedsiębierca pogrzebu tylko się potłukł cokolwiek, włościanin zaś z zadziwieniem wszystkich krewnych otworzył oczy, i przy pomocy, któréj mu natychmiast udzielono, odzyskał zupełnie przytomność zmysłów. Podróż napowietrzna połączona z nadzwyczajném wstrząśnieniem obudziła go z letargu i wybawiła z tego okropnego nieszczęścia, że go żywcem nie pochowano!«

Modniś chiński. Jeden z okrętowych oficerów angielskich, który był w wyprawie chińskiéj, wydał niedawno opisanie téj wojny, i doniósł o różnych szczegółach, które się tak samych Chińczyków jak i obyczajów ich dotyczą. Opisał on także modnisia w tém niebieskiém państwie. »Młody mandaryn ten«, mówi autor, był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w Chinach widziałem. Na głowie miał zimową czapkę, któréj dno było z atłasu koloru pchłowego a brzegi z czarnego aksamitu. Czapka ta z przodu i z tyłu była znacznie wyższa niż po bokach, i podobna zupełnie do czapeczek w kształcie czółenka, jakie sobie u nas chłopcy z papieru robią. Na obłączystém jak kopuła denku, stérczał biały sześcio-ścienny guzik kryształowy. Niżéj przypięte było pawie pióro o jedném oku, które na ramiona spływało. Miał na sobie szatę z błękitnego kamlotu, a szerokie rękawy sięgały aż po środek przedniego ramienia, poły zaś aż do bioder. Pod spodem miał rzęsisto kwiatami narzucany, jedwabny błękitnego koloru kaftanik, również z szérokiémi rękawami, ale te sięgały już aż do przegubów ręki, podobnież i poły kaftanika były dłuższe niż wierzchniéj szaty. Suknie te z przodu zachodziły jedna na drugą i od góry aż na dół spięte były taśmami i guzikami. Spodnie miał jasno-niebieskiego koloru, z cienkiéj nankinowéj krepy w kwiaty, nowo-czesnego greckiego kroju, ale tuż pod kolanami wetknięte w czarne atłasowe mandaryńskie buciki, które mają na dwa cale grube podeszwy, a po bokach są białe, gdyż w Chinach czernidła do butów jeszcze nie wynaleziono. Postać tę uzupełniały następujące przedmioty, bez których znakomity Chińczyk publicznie wystąpić nie śmié, najprzód: wachlarz z pięknie wyrobionym trzonkiem, następnie jak najsztuczniéj haftowany kabżuk, mnóstwo śrébrnych piórek do zębów i uszu, kieszonka na zegarek, i pas, u którego wszystkie te przedmioty równie jak i mała skórzana kalitka z krzesiwkiem i stalą zawieszone były. Omal, żem nie przepomniał jego sełedca, téj pięknéj pletni, którą każdy Chińczyk się pyszni, i która mu aż po kolana sięgała. Słowem, byłto prawdziwy chiński dandy, a przytém oficer konnicy.« — Co do sełedców, robi autor następującą uwagę: »Po zdobyciu Chin przez Tatarów, wydano rozporządzenie, którém nakazano, aby cały naród głowę golił, i nie zostawiał jak tylko na samym środku czubek, który w sełedec spleść należy. Długość i grubość téj kosy, mają Chińczykowie za znamię mężkiéj piękności, dla tego téż wiele fałszywych włosów do naturalnych wplatają. Pletnia ta dla niższych stanów jest bardzo użyteczna; ja sam widziałem jak jeden Chińczyk swoim sełedcem poganiał wieprza, a drugi znowu nim stół ocierał.«

Słowo o rękawiczkach. Rękawiczka, ściśle biorąc, nie jest tak mało ważną rzeczą, jak niejednemu się z nas wydaje. Piérwéj sądzono o ludziach podług ich czaszki, mowy, sposobu zachowania się, podług ich stylu i uśmiechu; teraz sądzą o nich li tylko podług ich rękawiczek; jeszcze przed dziesięcią laty poznawano człowieka po jego krawacie; teraz poznają go po rękawiczkach. *Un homme élégant n'est pas autre chose qu'un homme et le gant.* Rękawiczka jest cechą jego wartości, monogramem jego ukształcenia, podobizną jego smaku. Rękawiczka jest teraz matadorem, który wszelki przepych ubiorów mężkich przewyższa. Świat przebaczy nam wytartą suknię, wypłowiały kapelusz, staro-modną kamizelkę, byleśmy tylko czystą rękawiczkę na ręku mieli. Cienka rękawiczka jest głównym kluczem, który nam drzwi do wszystkich salonów, i do serc wszystkich kobiet odmyka; młody człowiek, który w wytworności do tego doszedł stopnia, iż codzień trzy lub cztery par rękawiczek *glacé* spotrzebuje, zrobi co godzina nową konkietę, i prędzéj niż się spodziewa, zostanie ulubieńcem wszystkich kobiet. — Rękawicznik stał przedtém na najniższym szczeblu przemysłowości, teraz zaś stoi na samym szczycie tego obelisku. Boivin w Paryżu i Jaquemar w Wiedniu, wznieśli rękawiczkę na stopę sztucznego dzieła. Teraz nié ma sprzedaży na rękawiczki, ale nakład jak na książki. Piérwéj czterma parami rękawiczek obszedłeś się przez cały miesiąc; teraz prawdziwy modniś potrzebuje najmniéj tyle codziennie. Margrabia d'Orsay, lew modnisiów Londynu, potrzebuje codziennie sześć par rękawiczek. Przypuściwszy, że rękawiczki jego w téj stolicy nad Tamizą, kosztują najmniéj trzy złr. mon. konw., więc ten król modnisiów potrzebuje na same rękawiczki rocznie nie mniéj jak 5570 złr. m. k. Jestto kwota, którąby nie jeden modniś stałego lądu, całoroczną swą toaletę mógł opędzić. We Francyi i Anglii nie pytają już: »Ile rocznego dochodu ma ten człowiek?« Lecz: »Ile rękawiczek potrzebuje w całym roku, i podług téj miary obliczają jego dochody.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.